

Rok 2027. Od 19 lat nie urodziło się żadne dziecko. Świat pogrążony jest w chaosie. Po co się o niego troszczyć, skoro nikogo już po nas nie będzie? Ta przejmująca wizja ze znakomitego filmu Alfonso Cuaróna „Ludzkie dzieci” wraca do mnie, gdy patrzę na to, co dzieje się ze wskaźnikami dzietności. Zadaćmy sobie, przy okazji Dnia Dziecka, proste pytania: jak wyglądałby świat, gdybyśmy, jak w tym obrazie, stracili możliwość posiadania potomstwa? jaki byłby sens egzystencji? czy nie utracilibyśmy powodu do odkrywania i tworzenia? czy nie ogarnąłby nas skrajny hedonizm?

Świat tonie w bezdzietności

Na całym globie, poza kilkoma wyjątkami, wskaźniki dzietności pikuja. Mrozi sytuacja w Azji; w Korei Południowej kobieta nie rodzi statystycznie nawet jednego dziecka – w Pusan czy Seulu wskaźnik dzietności stopniał już do 0,6. Innymi słowy: potrzeba, statystycznie, niemal dwóch kobiet, by urodziło się jedno dziecko. Wskaźniki poniżej 1 straszą w Tajlandii, Chile, Hongkongu czy na Tajwanie. Niewiele ponad 1 notują Chiny, Japonia, Urugwaj, Grecja, Finlandia, Litwa czy Argentyna. Polska także.

Na zielono, tam, gdzie wskaźnik przekracza wymarzone 2,1 (minimum, by populacja nie zapadała się demograficznie – kobieta rodzi średnio ponad dwoje dzieci), świecą jeszcze pojedyncze wyspy: kraje Afryki subsaharyjskiej, Azji Środkowej, Egipt, Algieria, Irak, Jordania oraz Izrael.

Ten ostatni to przypadek szczególnie ciekawy, gdyż w tym wysoko rozwiniętym kraju dzietność przekracza 3. I od razu ważne zastrzeżenie: to nie ultraortodoksyjni Żydzi odpowiadają za ten wynik. Wprawdzie Haredi mają średnio 6,48 dzieci, ale jest ich zaledwie 13 proc. i to nie oni decydują o demograficznym fenomenie. Jak pokazuje pieczołowicie Centralne Biuro Statystyki Izraela dzietność wśród „tradycyjnych, religijnych Żydówek” (nie ortodoksów) wynosi 2,81, a wśród „nie bardzo religijnych” aż 2,2. Nawet te „niereligijne, zsekularyzowane” rodzą blisko 2 dzieci (1,96).

Reszta świata pogrążona jest w czerwieni, a nawet tam, gdzie wciąż rodzi się nieco więcej dzieci, tempo spadku ich liczby jest oszałamiające. W Europie przejście demograficzne – spadek wskaźnika dzietności z średnio 5-6 dzieci na kobietę do obecnego stanu w okolicach 1,5 – zajęło ok. 150 lat. W Korei – w ciągu jednego pokolenia. W 1970 r. Koreanki rodziły średnio 4,53 dziecka, by zaledwie 35 lat

później (2005 r.) rodzić ich 1,09. Także w innych krajach błyskawicznie maleje wielkość rodzin. Iran: w 2015 r. dzietność na poziomie 2,14, dziś w okolicach 1,5, Tunezja odpowiednio 2,40 i 1,55, Turcja 2,16 i 1,47.

Jak dopadły nas czarne łabędzie

Ktoś zapyta – i słusznie – co się z nami dzieje? Dlaczego uciekamy od dzieci? Badania na ten temat prowadzone są od lat i nie dają jednoznacznej odpowiedzi. Ale można pokusić się o uporządkowanie przyczyn stanu rzeczy. Ta diagnoza dotyczy też Polski, która boryka się – zwłaszcza od 2020 r. – z dramatycznie malejącą liczbą urodzeń. Bo dzietność we współczesnym świecie determinuje pięć zmiennych.

Pierwszą jest przejście demograficzne. Ludzie przeszli drogę od posiadania dużej liczby dzieci, z których spora część umierała, do małej ich liczby, które – jak określał to noblista Gary Becker – są „lepszej jakości”. Tę transformację amerykański ekonomista nazwał „kompromisem między liczbą, a ich jakością”. Zauważa, że skoro nie „potrzeba” nam już tyle dzieci, co dotychczas (bo wiele z nich przeżywa), to zaczynamy w nie inwestować, dając im lepszą edukację, wypoczynek czy żywność. To racjonalne z punktu widzenia rodziców zachowanie „spycha” ich samych w przestrzeń mniejszych rodzin. Bo, po pierwsze, nie trzeba już tylu dzieci, by utrzymać gospodarstwo, a po drugie – dzieci kosztują więcej, bo w nie inwestujemy. To tendencja ogólnoświatowa i trudno się z nią mocować.

Drugą przyczyną pikujących wskaźników są nadzwyczajne zdarzenia, które odbierają poczucie bezpieczeństwa. Nazwijmy je czarnymi łabędziami. Tak jest w Polsce od 2020 r. – najpierw dwa lata pandemii, potem „płynne” przejście w wojnę za naszą wschodnią granicą, okraszone jeszcze kryzysem energetycznym oraz inflacją. A teraz koniec globalnego ładu, w którym żyliśmy ostatnie 30 lat i wielkie międzynarodowe tarcia. To nie może pozostać bez wpływu na decyzje o potomstwie. I faktycznie nasz wskaźnik dzietności zapikował od 2019 r. z ponad 1,4 do 1,1. W tym roku możemy otrzeć się o równe 1.

Narodowa duma i miłosne związki

Na dwie powyższe kwestie – co do zasady – wpływ mamy ograniczony. Ale kolejne trzy zmienne są już w zasięgu naszego oddziaływania.

Wprowadźmy tu trzecią kwestię: kulturę i wywodzące się z niej potrzeby i aspiracje rodzicielskie. Wszystko dzieje się w naszych głowach i sercach. Od naszych potrzeb i

tego, czy chcemy mieć potomstwo i czy uważamy, że jest to dla nas powód do dumy zależy demograficzna przyszłość. Determinuje to otaczająca nas kultura – ważne jak wpływa na nasze aspiracje dotyczące rodziny, liczby dzieci, modelu w jakim chcemy funkcjonować. I czy posiadanie potomstwa daje nam poczucie prestiżu. Czyli musimy odpowiadać na pytanie, czy jest ona nastawiona na family mainstreaming (polityka polegająca na włączaniu kwestii rodziny do wszystkich dziedzin życia), czy odwrotnie – na deprecjonowanie i podważanie wagi rodzin i dzieci. Analizujemy więc, chcąc uniknąć demograficznej katastrofy, rzeczywistość i to, na ile buduje ona prestiż, aspiracje i dumę z tego, że jesteśmy rodzicami, a na ile konstruuje obraz rodzicielstwa jedynie jako trudu, cierpienia, ograniczenia wolności i odmawiania sobie przyjemności. W tym kontekście społeczny hedonizm, konsumpcjonizm, skrajny indywidualizm, rozpad wspólnotowego myślenia to droga ku przepaści. Psiecko nie zastąpi rodziny. Promować powinniśmy – w tym media – family mainstreaming i wszystko, co wzmacnia stabilną rodzinę i rodzicielskie aspiracje. A sprzyja im – o czym mówią badania – narodowa duma, przywiązanie do tradycji, poczucie wspólnoty, religia, świadomość dzielonej z rodakami przeszłości, poczucie spełnienia z bycia rodzicem.

Relacje – to kolejne, czwarte, wielkie wzywanie. Bez stałych związków, umiejętności ich nawiązywania i utrzymania oraz seksu między kobietą i mężczyzną – dzieci nie będzie. To wielkie wyzwanie naszych czasów, w Polsce szczególnie. Bo to bardzo wysoka bezdzietność – ok. 30 proc. 40-letnich kobiet w ogóle nie ma dzieci – odpowiada w dużej mierze za nasz demograficzny kryzys. Tam, gdzie związki powstają, a zwłaszcza gdzie zawierane są małżeństwa, rodzi się średnio dwoje dzieci. Ludzie są bezdzietni głównie dlatego, że nie znaleźli partnera. Problemem jest już sam etap jego szukania, a potem trwałość relacji, umiejętność rozwiązywania w niej konfliktów i zapobieganie rozpadowi. Współczesny świat stanowi wielką przeszkodę. Z cyfrową rzeczywistością od najmłodszych lat (jak nauczyć się nawiązywania relacji skoro nie oglądam na żywo innych ludzi?), wszechobecną pornografią, szybkimi związkami (po co walczyć o partnera, skoro błyskawicznie znajdę online następnego), promocją płciowych tranzycji, skrajnego feminizmu czy podmywaniem znaczenia małżeństwa. W Polsce, na etapie powstawania par, problemem jest też ucieczka młodych kobiet do wielkich miast czy różnica w wykształceniu przedstawicieli dwojga płci (mężczyźni wyedukowani są gorzej). Kobietom i mężczyznom trudno znaleźć się fizycznie i mentalnie.

Na koniec trzeba pamiętać o tym, o czym zwykliśmy najwięcej rozmawiać przy okazji demograficznych wyzwań: o sprawach związanych z warunkami materialnymi

funkcjonowania rodzin. To piąty element równania. Możemy tu mówić o złotym czworokącie warunków bytowych, na który składają się: wsparcie finansowe rodzin (m.in. 800+), usługi dla nich (np. przedszkola, szkoły, system ochrony zdrowia), rynek pracy (zwłaszcza godzenie ról rodzica i pracownika czy bezpieczeństwo zatrudnienia) i dostępność mieszkań. Zwłaszcza ten ostatni element wymaga u nas znaczącej poprawy. Z danych Eurostatu wynika, że pod względem wskaźnika gniazdowania (pokazuje ile osób w wieku 18-34 lata mieszka wciąż z rodzicami), jesteśmy na 4. miejscu w UE (53,2 proc.). Ponad połowa młodych Polaków mieszka z rodzicami. To jak mają mieć dzieci?

Wyginieśmy jak dinozaury?

„Granice wzrostu”. Autorzy tego wydanego przez Klub Rzymski w 1972 r. raportu, mówiącego o groźbie przeludnienia Ziemi, trafili z przewidywaniami, jak kulą w płot. „Jeśli obecne trendy wzrostowe światowej populacji, industrializacji, zanieczyszczenia, produkcji żywności i zużycia zasobów zostaną utrzymane, to w ciągu najbliższych 100 lat osiągnięte zostaną granice wzrostu tej planety” – czytamy w raporcie. Niektórzy nawet wciąż w to wierzą, argumentując, że ludzi na świecie jest za dużo, a najgorsze jest to, że wytwarzają ślad węglowy, a najlepsze, co można zrobić dla ludzkości, to nieposiadanie dzieci.

W demografii nie ma determinizmu. Odrzucić też trzeba myślenie, że nic nie można w obecnej sytuacji zrobić. Mądra polityka może przynieść owoce, choć wymaga głębokiej refleksji nad diagnozą, wielu narzędzi, czasu, zaangażowania wielu podmiotów (nie tylko państwa) i pieniędzy. Nie popadajmy – w zarażający wielu – fatalizm. Doświadczenia międzynarodowe, zdrowy rozsądek, analiza rzeczywistości podpowiadają, że da się prowadzić taką politykę, która przynosi owoce w postaci wzrostu wskaźnika dzietności. Nie da się go zapewne podnieść w szybkim tempie do 2,1, ale można i trzeba w tym kierunku zmierzać.

Droga jest więcej niż wyboista. Obecne zmiany strukturalne, które układają nasz świat, wywierają raczej presję na posiadanie małej liczby potomstwa. Ludzie chcą w dzieci „inwestować”, mieć je „lepszego jakości”. Potomstwo nie jest już naturalnym sukcesorem rodzinnego gospodarstwa, pomocą w jego prowadzeniu, zabezpieczeniem na starość. To wszystko zmieniło się błyskawicznie w ciągu zaledwie ostatnich 150-200 lat i wywiera ogromny wpływ na dzietność. W skrócie: ludzie mają obecnie dzieci wyłącznie wtedy, gdy tego chcą i pragną, a nie dlatego, że muszą lub dlatego, że taka jest naturalna kolej rzeczy. A ponieważ dzieci to wysiłek, koszt i „konsument” czasu – rodziców do zostania rodzicem powinny

motywować inne wartości niż wyłącznie interes ekonomiczny czy naturalny porządek życia.

Współczesny świat wabi nas innymi możliwościami, wartościami, często błyskotkami i pokusami. To trzeba rozumieć i szanować. Nie wolno stawiać się tutaj w roli mentora – jak nie masz dzieci to jesteś gorszy. Z drugiej strony dla naszej wspólnoty to, by dzieci się rodziły jest arcyważne. I dlatego warto tak ustawić system, by zachęcał ludzi do ich posiadania, a nie do tego zniechęcał.

Co do zasady sprawa nie wydaje się być straszliwie skomplikowana: ludzie, przynajmniej w Polsce, chcą mieć zdecydowanie więcej dzieci niż mają. Trzeba zrobić wszystko, by usunąć bariery, które blokują ich aspiracje i wprowadzić zachęty, by na potomstwo się decydowali. Choć krajobraz, ze względu na zmiany wynikające z przejść demograficznych, jest trudny.

Dzieci – z perspektywy jednostek, rodziców – są ogromną wartością samą w sobie. Pozwalają stać się w pełni człowiekiem. Z tymi wszystkimi, nawet ekstremalnymi, emocjami jakie im towarzyszą. Pełną miłością, zwierzęcym strachem, gdy coś im grozi czy ogromnym szczęściem, gdy one są szczęśliwe. I poczuciem, że odchodząc, nie odchodzimy cali. Po co nam dzieci? By nie obudzić się w świecie z filmu Cuaróna.

Tekst pierwotnie ukazał się w Magazynie

DGP: <https://www.gazetaprawna.pl/magazyn-na-weekend/artykuly/9811481,bezdzietnosc-jako-znak-czasow-po-co-miec-dzieci-skoro-mozna-miec-psa.html>